

Dlaczego wciąż stawiamy wóz przed koniem?

dr **MARZENA ŻYLIŃSKA**

Zajmuje się metodyką, prowadzi szkolenia i warsztaty, pisze artykuły i książki. Przez wiele lat kształciła przyszłych nauczycieli i prowadziła seminaria metodyczne. Od wielu lat tworzy materiały dydaktyczne umożliwiające uczniom rozwijanie kreatywności, autonomii i krytycznego myślenia.

MAŁGORZATA GASIK

Specjalista ds. informacji pedagogicznej w MSCDN Wydział w Płocku, koordynator projektów edukacyjnych, m.in. eMOCje w twórczości i Filmowa Akademia Nauczyciela



Żeby dostać Nagrodę Nobla, wystarczy być wybitnym w jednej dziedzinie, żeby dostać świadectwo z paskiem, trzeba być świetnym ze wszystkich przedmiotów. A to przecież niemożliwe, a do tego jeszcze szkodliwe, bo odciąga uwagę uczniów od tego, co dla nich ważne, i kieruje ją na to, za co może dostać najwyższe oceny – tak komentuje jeden z naszych artykułów dotyczących oceniania dr Marzena Żylińska. Dlaczego – mimo alarmujących danych ekspertów, psychologów i dydaktyków nauczania – nadal tak trudno nam zrezygnować z ocen i nieustająco tkwimy w systemie pruskiej szkoły? Pretekstem do odpowiedzi na powyższe pytanie są teksty, które publikowaliśmy na łamach naszego magazynu w ciągu minionej dekady.

„Neurodydaktyka, czyli o tym, co wspiera, a co hamuje naturalne procesy uczenia się”, dr Marzena Żylińska: *Neurobiolodzy przekonują, że sposób, w jaki zorganizowany został obecny system nauczania, nie tylko nie pomaga, ale wręcz utrudnia mózgowi pracę. Jedną z przyczyn jest chęć zbytniego ułatwiania uczniom nauki i wyręczania ich w pracy*

(...). Zapewne największą stymulacją dla mózgu jest sytuacja, gdy dzieci same muszą wymyślać i tworzyć sobie zabawki, a jednak wielu dorosłych nie zachęca swoich pociech do kreatywnej aktywności, ale kupuje im wciąż nowe rzeczy. Problem widoczny jest także w szkole. Nauczyciele wciąż jeszcze postrzegają szkolną naukę bardziej jako proces nauczania

MARZENA ŻYLIŃSKA • MAŁGORZATA GASIK

niż uczenia się. Jakże często rodzice słyszą na wywiadówkach, że gdyby ich dziecko siedziało i słuchało, toby umiało, a ponieważ nie chce siedzieć i słuchać, to nie umie i ma problemy. Chcesz zrobić dla dziecka więcej, zrób mniej!

MAŁGORZATA GASIK: Czy nie ma Pani wrażenia, że mimo coraz większej świadomości nauczycieli i rodziców w tym zakresie, nadal nie potrafimy pozwolić uczniom na samodzielny rozwój? Nie wierzymy w ich możliwości? Nie doceniamy potencjału? Tak jest łatwiej, bo można zrealizować więcej programu w krótszym czasie? Z czego to wynika?

MARZENA ŻYLIŃSKA: Niestety, wciąż jeszcze zdecydowana większość szkół tkwi w kulturze nauczania. Mamy dwie kultury edukacyjne: kulturę nauczania i kulturę uczenia się. Wszyscy reformatorzy edukacji postulowali wprowadzenie kultury uczenia się, a najpiękniej wyraziła to Maria Montessori: *Pomóż mi zrobić to samemu*. Dzisiaj neurobiolodzy mówią to samo, tylko innymi słowami. Manfred Spitzer, autor książki „Jak uczy się mózg”, ujął to tak: *Nauka wymaga aktywności uczącej się jednostki. Wszystko, co tę aktywność hamuje, hamuje jednocześnie procesy uczenia*. Chociaż od wielu lat propagowane są metody aktywizujące, to w zdecydowanej większości szkół nauka wciąż polega na siedzeniu w ławce i słuchaniu nauczyciela. Niestety, dziś również wielu dorosłych akceptuje fakt, że uczniowie są w szkole jedynie biernymi odbiorcami wiedzy. W odpowiedzi na mój zarzut praktykowania edukacji transmisyjnej często słyszę, że w szkole realizowane są projekty. Jednak gdy pytam, jaki procent lekcji przeznaczony jest na naukę poprzez własną aktywność, to nie dostaję odpowiedzi. Jeden czy dwa projekty w ciągu roku to na pewno miła odmiana, ale to niczego nie zmienia.

Przez wiele lat organizowałam przyszłym nauczycielom praktyki pedagogiczne i miałam możliwość obserwowania wielu lekcji prowadzonych przez różnych nauczycieli. Moje doświadczenia pokazują, że czas, który dzieci spędzają w szkole,

jest często źle wykorzystany. Wielu nauczycieli wciąż jeszcze odpytuje uczniów przy tablicy, a potem szybko wyjaśnia nowy materiał i zadaje pracę domową. W takiej formule w ogóle nie ma miejsca na efektywną naukę, na jakąkolwiek aktywność uczniów. Problem polega na tym, że być nauczonym a uczyć się to dwie pary kaloszy. Wiedzieli to wszyscy reformatorzy edukacji, lecz my z jakiegoś powodu o tym zapomnieliśmy. A nauka poprzez siedzenie i słuchanie jest nie tylko najmniej efektywna, ale i niezwykle trudna, a do tego bardzo nieprzyjemna. Jest nawet taki skrót: NiL, czyli Nuda i Lęk. Dzieci chcą się uczyć, a my wciąż je nauczamy.

Pamiętam rozmowę z profesorem Geraldem Hütherem, który powiedział: *Nasz mózg jest najbardziej złożoną strukturą, jaką znamy, ale kieruje się bardzo prostą zasadą: Powtarzaj to, co przyjemne, unikaj tego, co nieprzyjemne!* My, dorośli, też nie lubimy wielogodzinnego siedzenia i słuchania. Przymus bierności to dla wielu dzieci najtrudniejsze szkolne wyzwanie. To częsta przyczyna porażek. Nauczyciel myśli, że dziecko ma słabe wyniki, bo materiał jest dla niego za trudny, a okazuje się, że ono odmawia współpracy, bo lekcje są nudne. Mali ludzie uczą się przez zadawanie pytań, poprzez własną aktywność, wypróbowywanie i eksperymentowanie. Im więcej zmysłów bierze udział w tym procesie, tym efektywniejsza nauka. Dzieci są urodzonymi badaczami, lubią eksplorować świat, a my – sprowadzając je do roli biernych odbiorców wiedzy – utrudniamy im naukę. Kiedy mniej więcej 200 lat temu powstał w Prusach obecny model szkoły, nauczyciel był naturalnym źródłem wiedzy, dostęp do niej był czymś elitarnym. Dziś jest inaczej. Żyjemy skąpani w informacyjnej lawinie. Problemem nie jest dostęp do informacji, ale zdolność ich wykorzystania. Pruski model szkoły powstał na potrzeby świata, którego już nie ma, a my wciąż uparcie trwamy w tym transmisyjnym paradygmacie. Dziś, jak 200 lat temu, uczniowie mają siedzieć w ławkach i słuchać, co mówi nauczyciel.

DLACZEGO WCIĄŻ STAWIAMY WÓZ PRZED KONIEM?

Żyjemy złudzeniem, że wprowadzenie do szkół nowych technologii czyni je innowacyjnymi. Jednak używając komputerów i interaktywnych tablic, można również robić ultrakonserwatywne lekcje. Jeśli tradycyjną tablicę zastąpiła interaktywna, a nauczyciel stojąc przed nią nadal wyjaśnia nowy materiał, to zmieniły się tylko didaskalia. To kontynuacja szkoły transmisyjnej, tyle że w nowej odstonie. Jest przyjemniej, bardziej kolorowo, są filmy i inne atrakcje, ale jeśli uczniowie dalej siedzą w ławkach i są odbiorcami wiedzy, to model szkoły się nie zmienił.

Dzisiaj edukacyjny główny nurt idzie dokładnie w odwrotnym kierunku niż ten, który wskazywali reformatorzy edukacji. Na studiach adepci zawodu nauczyciela słyszą o koncepcjach stworzonych przez Marię Montessori, Friedricha Fröbela, Celestynę Freinetę czy Helen Parkhurst, ale w publicznych szkołach bardzo trudno je spotkać, choć słuszność intuicji reformatorów potwierdzają badacze mózgu.

W czasie jednej z organizowanych przez Budzącą Się Szkołę konferencji prof. Gerald Hüther powiedział: *Neurobiolodzy powiedzieli już całkiem dużo o tym, jak uczy się mózg, co ułatwia, a co utrudnia zapamiętywanie. Teraz od was, nauczycieli, zależy, co z tą wiedzą zrobicie.* Na razie wiedza o procesach uczenia się, jakiej dostarczyła nam neurobiologia, nie ma większego wpływu na szkolną codzienność. Zmienia się za to prawo oświatowe: podstawy programowe (w tym ich preambuły), rozporządzenie o ocenianiu, promowaniu i klasyfikowaniu z 22 lutego 2019 roku i ustawa Prawo oświatowe zawierają bardzo dobre zapisy. Ich autorzy znają najnowsze badania. Podstawy programowe wymagają od nauczyciela dostosowania wymagań do psychofizycznych możliwości dzieci, w wielu dokumentach jest mowa o indywidualizacji. Według rozporządzenia oceny bieżące powinny informować ucznia o tym, co zrobił dobrze, co źle, i jak to poprawić. Żadna cyfra nie spełnia zatem kryteriów oceniania bieżącego. Te przepisy są naprawdę dobre, uwzględniają najnowszą wiedzę. Niestety, szkolna rzeczywistość za nimi nie podąża, a często idzie dokładnie w przeciwnym kierunku. Gdyby szkoły respektowały prawo oświatowe, nasz system edukacji poszedłby w kierunku fińskiego czy duńskiego.

Dlaczego wciąż nie możemy wykonać tego kroku naprzód?

Myślę, że nie zdajemy sobie sprawy z tego, jak trwałe są ludzkie przekonania. Gdybyśmy zapytali młodszych i starszych, z czym kojarzy im się szkoła, to przypuszczalnie większość wymieniłaby wiszącą na ścianie tablicę, stojącego przed nią nauczyciela, siedzących w ławkach (i patrzących na swoje plecy) uczniów, podręczniki, klasówki, podkreślone na czerwono błędy i stopnie. W naszych wyobrażeniach to coś oczywistego, że nauczyciel odpytuje kogoś przy tablicy, a najlepsze oceny dostają ci, którzy najwierniej reprodukują materiał. Tak wyglądała szkoła 200 lat temu i tak wygląda dzisiaj. Dlaczego ten model się nie zmienia? Ponieważ godzimy się na to, ponieważ wielu dorosłym wydaje się wygodny. Akceptujemy postęp we wszystkich dziedzinach życia. Nie chcemy chodzić do wychodków jak nasi przodkowie (celowo używam tego obrazowego porównania); wolimy ciepłe, wygodne łazienki. Nie chcemy, żeby zęby wyrwał nam kowal, wolimy stomatologię z XXI wieku. Chcemy nowoczesnych samochodów, komputerów i telewizorów. Jednak z jakiegoś powodu niektórzy uznali, że szkoła powinna zostać taka, jaka była w czasach, kiedy oni chodzili do szkoły, gdy uczniami byli ich dziadkowie, pradiadkowie...

Co budzi w nas taki opór?

Przykładem może być choćby ocenianie wspierające rozwój. Jak już mówiłam, od 22 lutego 2019 roku obowiązuje rozporządzenie, według którego ocena bieżąca ma informować ucznia o tym, co zrobił dobrze, co źle, i jak to poprawić. To są bardzo dobre przepisy. Badania zebrane na całym świecie przez Johna Hattiego pokazują, że właśnie taki sposób oceniania przekłada się na lepsze wyniki. Niestety, strach, który pojawia się w głowach niektórych ludzi, powoduje opór. Uważają oni, że jeśli nie będzie bata w postaci jedynek, jeśli nie będzie ciągłych klasówek i ocen, to dzieci nie będą się uczyć. Dlatego Budzącą Się Szkoła organizuje w szkołach, które oceniają już w zgodzie z prawem oświatowym, spotkania inspirujące. Jest wtedy okazja do rozmów

MARZENA ŻYLIŃSKA • MAŁGORZATA GASIK

z nauczycielami, dyrekcją i uczniami, często padają pytania o wyniki osiągnięte na zewnętrznych testach. Dla znakomitej większości osób takie spotkania motywują do wprowadzania zmian, ale bywają osoby, które mówią: *Może tutaj, w Sierpcu, uczniowie nie potrzebują ocen cyfrowych, ale nasi by się nie uczyli.* W przypadku niektórych osób rzeczywistość przegrywa z przekonaniem.

Nie da się – najczęstszy argument przeciwników wszelkich zmian...

Niedasizm to poważna choroba, która blokuje postęp, to często również obrona własnej wygody. Prawda jest taka, że wielu dorosłych uważa ten model szkoły za bardzo wygodny, bo pozwala przetrwać wina za brak oczekiwanych wyników na uczniów.

Wielu nauczycieli wierzy, że dzięki sprawdzianom i ocenom mogą zmusić uczniów do nauki. Klasówka jest symbolicznym aktem przeniesienia odpowiedzialności z nauczyciela na ucznia. *Dałam ci jedynekę, więc musisz coś z tym zrobić. Niech teraz popracują z tobą rodzice albo korepetytor. Ja swoją robotę zrobiłam.* Poniekąd rozumiem tych nauczycieli. Kiedy skończyłam studia i zaczęłam pracę w szkole – uczyłam wtedy w liceum ogólnokształcącym – też chętnie przetrzucałam odpowiedzialność na uczniów. Tak zostałam przygotowana do zawodu nauczyciela. Uczono nas robić konspekty, formułować cele lekcji – koniecznie operacyjne! – i co do minuty planować lekcje. Wszystko miało być drobiazgowo zaplanowane, na autonomię czy kreatywność uczniów nie było tu miejsca. Orwell by nie wymyślił takiego zniewolenia. Po studiach uważałam, że muszę wytłumaczyć moim uczniom nowy materiał – i jak każdy nauczyciel byłam przekonana, że robię to bardzo dobrze – a potem było odpytywanie przy tablicy, kartkówki, klasówki, testy i diagnozy. To był cały mój repertuar metodyczny. Byłam wtedy naprawdę przekonana, że jestem dobrze przygotowana do zawodu. Gdy człowiek skończy studia i ma dyplom, a do tego odpowiedzialność za niepowodzenia części uczniów może przenieść na nich, to... wielu korzysta z tej wygodnej

możliwości. A im bardziej ten system się nie sprawdza, tym bardziej jesteśmy skorzy do przetrzucania winy na uczniów. Dzięki temu nie musimy niczego zmieniać. To naprawdę wygodne!

A potem te dzieci, przekonane o swojej słabości, niewiedzy, braku talentów trafiają na rynek pracy, który wymaga kreatywności...

Naszym największym bogactwem narodowym są właśnie talenty dzieci. Niestety, wiele talentów nie jest w szkole zauważonych, a co za tym idzie, uczniowie nie mogą ich rozwijać. Kreatywność i innowacyjne, nieschematyczne myślenie na testach są raczej problemem niż zasobem. A przecież rozwój naszego kraju, podobnie jak każdego innego, zależy od tego, jak innowacyjni będą młodzi ludzie wchodzący na rynek pracy. Przez 12 lat, a dodając do tego studia – jeszcze dłużej, przygotowując do testów, wygaszamy w dzieciach i młodych ludziach kompetencje, od których zależy rozwój Polski. Bo innowacyjność gospodarki przekłada się na pozycję danego kraju na świecie. Wciąż czekam na egzaminy, które będą uwzględniać kompetencje kluczowe dla rozwoju naszej gospodarki.

Właśnie tego nie mogę zrozumieć. Świat tak szybko się rozwija. Za 10 lub 20 lat naszą pracę w większości zastąpią roboty, nie wiemy, jakie zawody powstaną – w tej sytuacji wydaje się naturalne, aby właśnie kreatywność wspierać wszelkimi sposobami. Tymczasem my, dorośli, tkwimy w przekonaniu, że jednak ten sprawdzian z tangensa i cotangensa to jest najważniejsza rzecz na świecie i koniecznie trzeba zaliczyć go na piątkę.

To zależy, co jest dla nas celem szkoły, celem systemu edukacji. Jeśli jest to rozwijanie potencjału każdego ucznia, to na lekcjach powinna być również przestrzeń do tego, żeby kreatywni i innowacyjnie myślący uczniowie mogli rozwinąć swoje talenty. Ale celem systemu – dodam, że to element tzw. ukrytego programu szkoły – nadal jest selekcja, egzamin, który powie, kto lepszy, a kto słabszy.

DLACZEGO WCIĄŻ STAWIAMY WÓZ PRZED KONIEM?

Ponieważ to selekcję uczyniliśmy najważniejszym celem edukacji, wspieranie indywidualnego rozwoju każdego ucznia zeszło na drugi plan. To jest absolutnie kontrproduktywne. Tracą nie tylko dzieci i młodzi ludzie, traci całe społeczeństwo, ale z jakiegoś powodu uznaliśmy pomiar i selekcję za główny cel, a najłatwiej sprawdza się wiedzę. Dlatego prawdziwy cel szkoły zszedł na dalszy plan. Wielu dorosłych w ogóle straciło go z oczu.

No właśnie – z jakiego powodu? Jestem pewna, że większość osób zajmujących się edukacją ma świadomość, co się dzieje i jakie wyzwania stoją przed nami. Nie żyjemy w bańce, odcięci od świata i technologii.

Niestety, z oceniania uczyniliśmy bożka. Kiedy dzieci idą do szkoły, to już pierwszego dnia słyszą, co i jak będzie oceniane, jaką ocenę wolno poprawić, kiedy i z czego będzie egzamin, na kiedy zaplanowano próbny egzamin, a na kiedy próbny przed próbnym... A przecież to nie ocenianie jest celem szkoły, ono ma tylko wspierać proces uczenia się. Możemy to przeczytać w wielu szkolnych dokumentach, od podstaw programowych, po wspomniane rozporządzenie i ustawę.

„Szukając dziury w całym – refleksje o uczeniu i nauczaniu”, Małgorzata Taraszkiewicz: *Wyjdźmy od pytania: Jaka powinna być edukacja, aby była zgodna z nowoczesną wiedzą dotyczącą zasad efektywnego uczenia się? Mnie od razu nasuwa się priorytet nr 1: wprowadzenie do praktyki szkolnej diagnozy strategii uczenia się uczniów – indywidualnych i klasy (co najmniej na początku każdego etapu edukacyjnego). W programowych dokumentach na temat edukacji szkolnej wielokrotnie używane są (wprost nadużywane!) pojęcia: indywidualizacja nauczania, podmiotowość, szacunek dla potrzeb osób uczących się itd. To tak w teorii... bo w praktyce wszyscy uczniowie są nauczani niemal tak samo: ten sam podręcznik, te same zadania, ten sam klucz oceniania, ten sam sposób prezentacji materiału edukacyjnego (czytaj: oferta metodyczna). Łatwo jest zidentyfikować ukryte założenie: wszyscy uczą*

się tak samo! Ewentualnie ci, którzy uczą się „inaczej” i nie osiągają oczekiwanych rezultatów, kierowani są na zajęcia wyrównawcze, gdzie robią to samo, tyle że wolniej. Albo kierowani są do pedagogów i psychologów, gdzie poddawani są terapii i „obróbce”, żeby się usprawnili i dołączyli do tych, którzy dobrze reagują na tradycyjną ofertę szkolną. Wyobraźmy sobie podobne założenie w obszarze medycyny – wszystkim, którzy przyszli do lekarza, aplikowane są takie same leki! Bez badania! (Wydaje się, że często tak jest, niestety – ale jak jesteśmy wtedy oburzeni!).

To fragment artykułu z 2014 roku. Wydawałoby się, że od tamtej pory przekonanie, że każdy uczy się tak samo, nie powinno już mieć miejsca w żadnej szkole...

Małgorzata Taraszkiewicz ma zupełną rację i ze smutkiem stwierdzam, że niewiele się w tej kwestii zmienia. Kiedy spojrzymy na prawo oświatowe, na podstawy programowe – wszędzie jest mowa o tym, jak ważne jest dziecko. Dziś również indywidualizacja odmieniana jest przez wszystkie przypadki. Przepisy mówią wprost o dostosowaniu wymagań do psychofizycznych możliwości uczniów. A jednak w większości szkół od wszystkich dzieci wymaga się tego samego, oczekuje się nauki w takim samym czasie i takim samym tempie. Zadaniem nauczyciela jest realizacja celów zawartych w podstawie programowej, a nie w podręczniku. Powszechnie wiadomo, że w podręcznikach jest dużo więcej treści. Jeśli dziecko nie ma trudności w nauce, to oczywiście warto poszerzyć wiedzę. Ale co w przypadku uczniów z trudnościami? Wychodzenie poza podstawę nie ma wtedy żadnego sensu, pogłębia tylko trudności. Przepisy prawa oświatowego mówią przecież o konieczności indywidualizowania podejścia, dostosowania wymagań do możliwości uczniów. Szkoda, że to tylko martwe zapisy.

Małgorzata Taraszkiewicz widzi ten rozdźwięk. W prawie oświatowym mamy świetne rozwiązania, których na próżno szukać w szkolnych realiach. Wszystkie dzieci piszą te same klasówki, wszystko, co jest podane na lekcji, obowiązuje wszystkich i w wielu szkołach nie ma ani indywidualizacji, ani

tym bardziej personalizacji. Warto jednak zauważyć, że w Polsce powstaje w ostatnich latach coraz więcej szkół alternatywnych i pozasystemowych, które proponują inne rozwiązania. Również w szkołach publicznych coraz więcej nauczycieli stara się wprowadzać rozwiązania zgodne z prawem oświatowym. Wywołuje to często opór i protesty. Tak właśnie dzieje się w przypadku rezygnacji z cyfr jako ocen bieżących. Jednak doświadczenia szkół, które stosują ocenianie wspierające rozwój, są bardzo obiecujące, wszędzie wyniki idą w górę. Dokładnie tak, jak pokazują to badania zebrane przez Johna Hattiego.

Ostatnie lata przyniosły dużo nowego, ukazało się wiele książek adresowanych do nauczycieli, których autorami są badacze mózgu. Czy ta wiedza spowodowała jakieś zmiany?

To prawda, chociaż to dopiero początek poznawania tego najbardziej złożonego organu, to przecież ostatnio neurobiolodzy dostarczyli nauczycielom wielu informacji o tym, jak uczy się mózg. Oczekiwanie, że ta wiedza będzie miała wpływ na szkoły, było więc uzasadnione. Dziś mówi się na przykład o mózgach neurotypowych i neuroatypowych. Każdy z nas ma około 86 miliardów neuronów, a jeden neuron może mieć nawet 10 tysięcy dendrytów. W zależności od tego, co robimy, powstają różne połączenia. Każdy mózg jest zatem inny, ma inne połączenia, wielu zaburzeń nie potrafimy jeszcze diagnozować. Człowiekowi, który kuleje, nie każemy ze sprawnymi osobami ścigać się na sto metrów. Dla każdego jest oczywiste, że to byłby absurd. Ale takiej na przykład dyspraksji nie widać na pierwszy rzut oka. Wszyscy już przepisali z tablicy, a Antek znów ostatni, więc oczekujemy od rodziców, że poćwiczą z synem w domu. Ot, guzdrata i tyle. Ale w przypadku dyspraksji praca rodziców nie pomoże. Jeśli dziecko nie dostyczy albo w ogóle nie słyszy, można to zbadać i postawić diagnozę, ale problemy z przetwarzaniem bodźców słuchowych są dużo trudniejsze do zdiagnozowania. A problem polega na tym, że od takich dzieci często wymaga się dokładnie tego samego, co od neurotypowych. Uczniowie z dysfunkcjami często pracują ponad siły, dają z siebie

wszystko i ciągle słyszą, że to za mało, że za słabo, że inni lepiej, szybciej. To prowadzi do wyczerpania, u wielu dzieci diagnozuje się syndrom wypalenia czy depresję. Wielu dorosłych nie rozumie też potrzeb dzieci z ADHD, mając nieaktualną wiedzę o tym zaburzeniu. Dziś w przypadku ADHD, podobnie jak w przypadku autyzmu, mówi się o spektrum. I choć wiedza jest dostępna na wyciągnięcie ręki, to jednak w wielu szkołach wciąż jeszcze nie ma miejsc wyciszenia. Świadomość jest jednak coraz większa, wiele placówek dostosowuje szkolne przestrzenie do potrzeb neuroatypowych uczniów.

Przypomnę – od publikacji tego artykułu minęło już 9 lat! Niestety, nadal indywidualne podejście do każdego ucznia nie jest powszechne...

Tak. Jeśli coś się zmienia, to nie są to systemowe rozwiązania, ale raczej indywidualne inicjatywy konkretnych osób, które mają już wiedzę i świadomość konieczności wprowadzania zmian. Być może ich inicjatywy wynikają z tego, że sami mają neuroatypowe dzieci, a może jest to wynikiem większej wrażliwości. Wciąż wiele jest szkół, które mimo dostępnej wiedzy nie widzą potrzeby dostosowania się do potrzeb dzieci.

W ramach odpowiedzialności dyscyplinarnej – ogólnie rzecz ujmując – nauczyciel odpowiada za zrealizowanie z uczniami programu nauczania, sprawdzenie ich wiedzy, odbywanie zajęć w obowiązującym go wymiarze i prawidłowe dokumentowanie procesu nauczania. I tyle. Nie funkcjonuje tzw. odpowiedzialność zawodowa, albo – ujmując rzecz precyzyjniej – jest ona bardzo rozmyta w niejednoznacznym podziale zadań (zwanych współpracą) z rodzicami uczniów. Nie dość wyraźnie wiadomo, kto odpowiada za wyniki nauczania: czy szkoła z zespołem profesjonalistów od nauczania, czy rodzice – amatorzy? Z pewnym (choć niezbyt dużym) przejawieniem można powiedzieć, że większość nauczycieli przypisuje sobie zasługi wobec „uczniów z „biało-czerwonym paskiem”, natomiast odpowiedzialność za uczniów z „paskami czarnymi” przerzucana jest na rodziców lub inne osoby

DLACZEGO WCIĄŻ STAWIAMY WÓZ PRZED KONIEM?

z systemu. Sporym paradoksem jest też sytuacja tzw. odrabiania lekcji. W tym kontekście rodzic praktycznie musi stać się specjalistą od kilku, kilkunastu przedmiotów nauczania – być niemal supernauczycielem rozwiązującym wszelakie problemy edukacyjne swego dziecka, ale nie może zasugerować nauczycielowi odpowiednich dla jego dziecka metod nauczania... bo wchodzi na ogół w konflikt kompetencyjny, który – delikatnie to ujmując – dziecku nie pomaga!

„Czerwonopaskowcy” nadal są chlubą szkoły, z pozostałymi dziećmi coś jest nie w porządku, skoro nie potrafią się uczyć tak, jak prymusi – wspominała Pani już o tym powyżej. W sumie to dosyć naturalne podejście, najłatwiejsze. Jeśli inni potrafią, to tym pozostałym się zwyczajnie nie chce albo rodzice nie potrafią ich zmotywować. Może potrzebne są jakieś korepetycje albo wizyta u specjalisty za duże pieniądze...

Problem poruszony przez Małgorzatę Taraszkiewicz jest niezwykle ważny. Jestem aktywna w mediach społecznościowych: na Facebooku, TikToku czy Instagramie. Pod moimi postami i filmikami, w których poruszam tematy związane z edukacją, wiele osób w komentarzach zgłasza ten sam problem – kiedy pojawiają się trudności czy problemy z dzieckiem, do szkoły wzywany jest rodzic. Specjaliści w dziedzinie nauczania, psycholodzy, pedagodzy diagnozują problem i oczekują, że rodzice go rozwiążą. A przecież zdecydowana większość z nich nie ma ani fachowej wiedzy, ani przygotowania pedagogicznego. Spójrzmy na system fiński – tam na przykład korepetycje są zabronione. Problemy, które powstały w szkole, tam właśnie mają być rozwiązywane. A rodziców zaprasza się tylko po to, żeby poinformować, co ustaliła grupa specjalistów, czyli nauczyciele, pedagodzy, psychologowie przekazują informację, jak będą w szkole wspierać dziecko.

To po prostu jest logiczne. U nas niestety nie jest popularne takie podejście.

Nauczyciel w Finlandii nie powie rodzicowi: Ja nie zdołałam nauczyć pani dziecka matematyki, chociaż jestem po studiach i mam przygotowanie pedagogiczne i metodyczne, ale myślę, że jak pani z nim posiedzi w domu, to się nauczy. Psycholog też nie powie: My nie umiemy pomóc pani dziecku, które ma ADHD, ale pani, która nie jest fachowcem, na pewno znajdzie rozwiązanie. W wielu krajach takie przeniesienie odpowiedzialności na rodziców byłoby nie do pomyślenia. U nas jest to nie tylko akceptowane, ale wiele osób uważa, że tak powinno być. Jeśli w szkole pojawiają się trudności, z którymi nie radzą sobie profesjonaliści, to problem można przerzucić na rodziców, którzy przecież żadnego przygotowania metodycznego czy psychologicznego nie mają. To się zmienia, ale bardzo wolno.

Warto też zauważyć, że szkoła staje się coraz bardziej zaborcza – zabiera dzieciom i młodym ludziom już nie tylko przedpołudnia, ale i popołudnia, wieczory, weekendy, a nawet święta. Bo jeśli zaraz po najważniejszych w naszej kulturze świętach zapowiedziane są na przykład trzy sprawdziany, to dzieci, zamiast odpocząć i spędzić czas z rodziną, siedzą nad książkami. Tak nie powinno być, a jednak duża grupa dorosłych wciąż akceptuje takie traktowanie uczniów. Uważam, że szkoły powinny monitorować czas, jaki dzieci i młodzi ludzie poświęcają na naukę. Nas, dorosłych, chroni Państwowa Inspekcja Pracy. Dzieci nic nie chroni i dla wielu dorosłych jest to sygnał, że nie ma tu żadnych ograniczeń. Kiedyś dzieci miały więcej czasu, żeby rozwijać swoje zainteresowania, dzisiaj coraz częściej muszą z tego, co je interesuje, rezygnować.

Najpierw musimy widzieć człowieka, a dopiero później ucznia. Bez tego nie ma efektywnej nauki. – Więcej wsparcia, mniej kontroli – to hasło Budzącej Się Szkoły na ten rok szkolny.

MARZENA ŻYLIŃSKA • MAŁGORZATA GASIK

Szalenie pesymistycznie to brzmi. Na szczęście są już placówki, które pracują inaczej.

Tak, to prawda. Niestety, edukacyjny główny nurt nadal zmienia się bardzo wolno. Zbyt wolno. Ale jest coraz więcej szkół alternatywnych, które wytyczają nowe drogi.

„Motywacja do pracy uwarunkowaniem sukcesu zawodowego nauczyciela”, prof. nadzw. dr hab.

Joanna Madalińska-Michalak: *Nauczyciele osiągający sukcesy zawodowe mają wyjątkowy zasób energii. Charakteryzuje ich zdolność do wyczerpanej i długotrwałego trudu. Przejawiają umiejętność skoncentrowania się na wykonywanym zadaniu i dążą do jego zrealizowania. Podłożem ich działania jest motywacja wewnętrzna, samoistna. Są oni nie tyle nastawieni na nagrody zewnętrzne, co na zadowolenie i satysfakcję z osiągniętych wysokich wyników pracy. Satysfakcję odnajdują przede wszystkim w samej pracy, w zmaganiu się z wyzwaniami, jakie ona stawia – atrybutem pracy jest dla tych nauczycieli sensowność pracy nauczycielskiej oraz jej społeczna i indywidualna użyteczność. Jedną z podstawowych czynności nauczyciela jest nauczanie innych, kształtowanie osobowości wychowanków, praca w zawodzie nauczyciela daje badanym także możliwość własnego intelektualnego i osobowościowego rozwoju. Motywacja wewnętrzna, nieinstrumentalna tłumaczy wysoki stopień zaangażowania nauczycieli osiągających sukcesy w pracę, ich głębokie zainteresowanie tym, co robią i jak to wykonują. Badania nad osiągnięciami w nauce i pracy podejmowane przez psychologów pokazują, że orientacja na osiągnięcie mistrzostwa, tak charakterystyczna dla badanych nauczycieli, sprzyja uporczywości w działaniu (nawet mimo przeszkód i porażek) i zaangażowaniu w podejmowane działania, co znalazło potwierdzenie w uzyskanych przeze mnie wynikach. Otrzymane wyniki pozostają również w zgodzie z poglądem, że im silniejszą orientację na osiągnięcie mistrzostwa przejawiają nauczyciele, tym bardziej są zaangażowani w rozwój własnych kompetencji i umiejętności, co z kolei sprzyja wyższemu poziomowi wykonania zadania w przyszłości.*

Zastanawiam się, czy nawet tej największej motywacji nie zabije proza życia, brak adekwatnego wynagrodzenia. Czy najbardziej zaangażowany człowiek w pewnym momencie nie powie dość?

Znam wielu bardzo dobrych, oddanych dzieciom nauczycieli, którzy prowadzą świetne lekcje, mają bogatą osobowość, potrafią swoich uczniów zainteresować swoim przedmiotem. To osoby, które chcą się na lekcjach dobrze bawić i przy okazji świetnie bawią się ich uczniowie – i żeby była jasność, słowo „bawić się” nie jest deprecjonujące. Profesor Gerald Hüther w książce „Kim jesteśmy – a kim moglibyśmy być” przekonuje, że człowiek najintensywniej uczy się wtedy, kiedy zapomina, że się uczy. Jeśli nauczyciel sam jest czymś zafascynowany, kiedy lubi być z dziećmi, zarażać je swoimi fascynacjami, to wtedy nauka jest najefektywniejsza, a w mózgach uczniów pojawiają się substancje, które umożliwiają efektywną naukę. Sama w swojej pracy – prowadziłam seminaria metodyczne, organizowałam studentom praktyki pedagogiczne i hospitałam ich lekcje – doświadczyłam tego, co wynika z badań profesora Madalińskiej-Michalak. Praca nauczyciela jest najefektywniejsza, gdy kieruje nim motywacja wewnętrzna. Wtedy lekcje są żywe, kreatywne, a uczniowie uczą się w najintensywniejszy sposób. I takie osoby dają swoim podopiecznym wsparcie, jakiego potrzebują, by rozwinąć skrzydła i wzlecieć wysoko. Gdy uczniowie widzą, że nauczycielowi się chce, to im też się chce.

Jednak bardzo bym chciała, żeby nauczyciele godnie zarabiali, bo tylko wtedy do szkół będą przychodzić najlepsi. Przy obecnym poziomie płac mało kto wybierze ten piękny, ale przecież trudny i wymagający wielu różnych kompetencji zawód.

„Bez ocen, czyli jak?” Wiesława Mitulska: *Na początku edukacji każde dziecko stara się i wkłada w swoją pracę wszystkie umiejętności. Jeśli jego praca zostanie oceniona nisko, to zwykle nie wie, dlaczego tak się stało. Zaczyna myśleć, że jest gorsze od innych, a jeśli sytuacja się powtarza, to przy okazji odbiera ważną lekcję – nie warto się starać. Dziecko buduje swoje poczucie wartości, konstruując obraz samego siebie na podstawie kontaktów*

DLACZEGO WCIĄŻ STAWIAMY WÓZ PRZED KONIEM?

z rówieśnikami, z którymi się porównuje, i przeglądając się w oczach ważnych dla niego dorosłych (rodziców, nauczycieli). Ogromne znaczenie w jego życiu będzie miał ten pierwszy etap szkoły i to, czy wyjdzie z niego wzmocnione, z wiarą, że trudności da się pokonać, czy też z przekonaniem, że jest słabe, inne dzieci radzą sobie lepiej, a wysiłek nie zawsze przekłada się na lepszą ocenę.

Oceny wyrażane cyfrą – wyzwanie dla tych najlepszych, zmora dla tych, którzy nie wpisują się w klasyczny schemat uczenia. Nawet rodzice, słysząc o czwórce swojego dziecka z matematyki, pytają – a co dostała twoja koleżanka Basia? Jakby to uszeregowanie dziecka w klasowej hierarchii było priorytetem...

To, o czym pisała przed kilkoma laty Wiesława Mitulska, jest niezwykle ważne i niestety wciąż aktualne. Nadal nie zdajemy sobie sprawy, jak bardzo oceny stygmatyzują, jak negatywnie wpływają na motywację. Jeśli mamy oceny cyfrą – a w klasach I-III nie powinno ich być wcale – to informacja zwrotna schodzi na drugi plan. Dziecko i rodzic patrzą na cyfrę i często nie czytają tego, co napisał nauczyciel. Jak pokazują badania izraelskich pedagogów, informacja zwrotna, obok której jest cyfra, przestaje spełniać swoją rolę. W podstawie programowej dla klas I-III jest jasno napisane, że na opanowanie zawartych tam celów dzieci mają 3 lata. Jak można oceniać cyfrą w klasie pierwszej lub drugiej kompetencję, jeśli dziecko ma na jej opanowanie trzy lata? Jedyńm sensownym rozwiązaniem jest informacja, gdzie dziecko jest w drodze do celu, co już umie, a nad czym jeszcze musi pracować.

Nauczyciel, który zna podstawę programową, nie może oceniać uczniów z pomocą ocen cyfrowych. Bo to stygmatyzuje, ma zły wpływ na relacje i utrudnia naukę. Dziecko przypina sobie wtedy taką wewnętrzną etykietę: „Jestem gorsza, wolniejsza, głupsza”. A wtedy droga do sukcesu jest zamknięta, bo bez wiary w siebie wiele dzieci nawet nie próbuje zmierzyć się z wyzwaniami. Gdy tylko coś wydaje się trudne, wycofują się, nie mobilizują sił, bo przecież „Jestem głupsza od innych, nie dam rady”. W ten sposób zamykamy wielu dzieciom drogę do

sukcesu. Oceny cyfrowe nie tylko nie pomagają, one wielu uczniom, którzy potrzebują więcej czasu, podcinają skrzydła. Autorzy podstawy programowej dla klas I-III doskonale to wiedzieli i zawarli stosowne zapisy, ale trzeba je znać i chcieć stosować.

Cytowany już Gerald Hüther twierdzi, że dzieci przeglądają się w oczach nas, dorosłych, jak w lustrze i na podstawie tego, co w nich widzą, tworzą sobie obraz samych siebie. Wyobraźmy sobie Jasia z dysleksją, który w domu ciężko pracuje nad czytaniem. Daje z siebie wszystko, robi postępy, czyta coraz lepiej, ale w szkole dostaje jedynkę. Bo nie czytał płynnie, a niektóre słowa przeczytał źle. Z formalnego punktu widzenia nauczyciel prawidłowo wychwycił błędy. Jaś rzeczywiście czyta dużo gorzej od innych dzieci w klasie. Ale przecież jest jeszcze wiedza psychologiczna, metodyczna i zwykła ludzka empatia. Wystarczy zastanowić się, jak Jaś się czuje, co z jego emocjami, wiarą w sens pracy, co z motywacją chłopca? Czy jedynka zachęci go do jeszcze cięższej pracy? Przecież on cały czas ciężko pracuje! Najczęściej wygląda to tak, że dziecko wraca do domu i mówi, że już więcej nie będzie ćwiczyć czytania, bo to nie ma sensu. Skoro i tak dostaje jedynki, to po co się męczyć? Zupetnie inaczej zadziałałaby na dziecko i jego chęć do pracy na przykład taka informacja zwrotna: „Widzę, że pracujesz i robisz postępy. Czytasz coraz płynniej i robisz już mniej błędów. Możesz być z siebie dumny /dumna”. W którym przypadku dziecko będzie dalej pracować? To pytanie retoryczne. Dobre ocenianie motywuje do dalszej pracy, złe, nieprofesjonalne tę chęć do pracy wygasza.

Nie można oczekiwać, że dziecko z dysleksją będzie czytać tak jak to, które rozpoczynając pierwszą klasę, już płynnie czytało. Z rozporządzenia o ocenianiu, promowaniu i klasyfikowaniu z 22 lutego 2019 roku wynika, że oceniając, nauczyciel ma uwzględnić poziom i czynione przez ucznia postępy. Do tego jeszcze w klasach I-III są oceny opisowe, umożliwiające taką ocenę, która podtrzyma motywację do dalszej pracy. To jest właśnie cel oceniania – wspieranie procesu uczenia się. Niestety, wielu dorosłych myśli, że celem oceniania jest nagradzanie najlepszych i karanie najgorszych (to często dzieci

z dysfunkcjami), a więc ustalenie hierarchii. To duży błąd wynikający z nieznamomości prawa oświatowego i braku znajomości celu oceniania, jakim jest wspieranie procesu uczenia się. Gdy nauczyciel dostrzega postępy i trud włożony w naukę, dziecko widzi sens swojej pracy. Jeśli podejmuje kolejne próby, ćwiczy i czerpie radość z czynionych postępów, to znaczy, że nauczyciel daje mu wsparcie, jakiego potrzebuje. Kształcąc przyszłych nauczycieli, często powtarzałam, że oceniając, trzeba unikać wszystkiego, co niszczy wiarę dziecka w sens jego pracy.

Czy szkole potrzebne są sprawdziany? A jeśli nie sprawdzian, to co? Takie pytanie często słyszę, gdy podaję w wątpliwość konieczność robienia uczniom testów albo gdy przyznają się, że od dawna sprawdzianów nie robię. Odpowiedź zależy od celu sprawdzania. Najczęściej celem jest chęć zweryfikowania tego, co uczniowie umieją i wystawienie oceny w formie stopnia, punktów lub procentów. Czy rzeczywiście sprawdzian lub test da nam informację o tym, co dziecko umie? Wiedza to nie tylko wiadomości, informacje, fakty, ale również umiejętność użycia tych wiadomości w różnych kontekstach. Nie wszystko potrafimy zbadać i zmierzyć przy pomocy prostych narzędzi, jakimi są sprawdziany i testy. One zmierzają jedynie umiejętność przypominania sobie informacji, które uczeń przyswoił lub powinien przyswoić w czasie lekcji. Sprawdzając test, nauczyciel widzi tylko końcowy rezultat. Najczęściej nie wie, jak uczeń dochodził do wyniku, w jaki sposób myślał, dlaczego popełnił błędy, dlaczego zostawił puste miejsce albo część pytań bez odpowiedzi.

Dla mnie najcenniejsze są właśnie te informacje o dziecku, których nie można zweryfikować sprawdzianem. Wolę obserwować i diagnozować uczniów w procesie uczenia się, bez przerywania tego procesu na organizowanie testu.

Szczerze mówiąc trudno mi sobie teraz wyobrazić, że wszyscy nauczyciele rezygnują z klasówek. Przecież one istniały „od zawsze”.

Wiesława Mikulska w tym fragmencie zwraca uwagę na to, że testy, które samodzielnie są w stanie stworzyć nauczyciele, to bardzo proste, żeby nie

powiedzieć prymitywne narzędzia. Nie dają możliwości sprawdzania wielu kompetencji. W zasadzie z pomocą tych prostych testów dobrze możemy sprawdzić, czy dziecko umie reprodukować podaną wiedzę. A przecież w życiu nie liczy się wiedza, jaką mamy, ale zdolność jej zastosowania. Oczywiście można skonstruować wyrafinowane testy, sprawdzające zdolność wykorzystania wiedzy, ale ich tworzenie jest naprawdę trudne i bardzo czasochłonne. Zajmują się tym zazwyczaj całe zespoły specjalistów. Jeśli zrozumiemy, jak niedoskonałymi narzędziami są tradycyjne testy i jak bardzo ograniczone jest to, co potrafimy z ich pomocą mierzyć, to może ograniczymy ich stosowanie. Żeby uczeń z tradycyjnej klasówki dostał szóstkę, musi wyuczyć się materiału na pamięć. Może tych zagadnień nie rozumieć, może nie umieć ich zastosować, ale napisał to, czego się wyuczył na pamięć i to wystarczy. Oczywiście na teście, bo w życiu nie liczy się, co wiesz, ale co umiesz z tym zrobić.

Część z artykułów, które Pani skomentowała, pochodzi sprzed 9 lat, pozostałe sprzed 2-3. Okazuje się, że nadal, mimo naszej coraz większej świadomości, sygnalizowane przez nas, „Meritum”, problemy nadal nie zostały rozwiązane, choć coraz częściej dostrzegamy chęć zmiany i odwagę w jej wprowadzaniu. Co według Pani jest teraz naszym priorytetem, jeśli chcemy autentycznie udoskonalić naszą edukację, naszą szkołę? Jakie wyzwania są teraz przed nami, jakie działania musimy pilnie podjąć, żeby edukacja rzeczywiście osiągnęła poziom, który nas zadowoli?

Przede wszystkim musimy rozumieć, jak wielką rolę odgrywają relacje. Na ścianach wielu polskich szkół wiszą cytaty z książek Janusza Korczaka. Dla mnie najważniejszy jest ten: *Nie ma dzieci, są ludzie*. Często się zastanawiam, kiedy te słowa trafią ze szkolnych ścian do naszych serc. Albo ten cytat: *Nie takie ważne, żeby człowiek dużo wiedział, ale żeby dobrze wiedział, nie żeby umiał na pamięć, a żeby rozumiał, nie żeby go wszystko troszkę obchodziło, a żeby go coś naprawdę zajmowało*. Gdybyśmy to

DLACZEGO WCIĄŻ STAWIAMY WÓZ PRZED KONIEM?

rozumieli, zniknęłyby świadectwa z paskiem i stypendia za najwyższą średnią ocen. Ale my wciąż tego nie rozumiemy. Żeby dostać Nagrodę Nobla, wystarczy być wybitnym w jednej dziedzinie, żeby dostać świadectwo z paskiem, trzeba być świetnym ze wszystkich przedmiotów. A to przecież niemożliwe, a do tego jeszcze szkodliwe, bo odciąga uwagę uczniów od tego, co dla nich ważne i kieruje ją na to, za co może dostać najwyższe oceny. Często się zastanawiam, o ile lat Korczak wyprzedził swój czas; kiedy zrozumiemy to, co chciał nam wyjaśnić.

Wracając do relacji, warto wyjaśnić, dlaczego mają tak duży wpływ na efektywność procesu uczenia się. Jeśli mamy dobre, wspierające relacje, to w naszych mózgach uwalniane są trzy ważne substancje: dopamina, oksytocyna, endogenne opioidy. Profesor Joachim Bauer, autor książki „Co z tą szkołą?”, nazywa je czarodziejskim trio. Dzięki nim pojawia się chęć do pracy, a więc również do nauki. Jeśli dziecko w szkole nie ma dobrych, wspierających relacji, jeśli przeżywa stres, czuje się zagrożone – nie skupia się na rozwoju, ale na obronie. Dlatego neurobiolodzy ostrzegają przed strachem i stresem. W mózgu pojawia się wtedy kortyzol, a jego wysoki poziom ma negatywny wpływ na wyższe funkcje poznawcze, w tym również na procesy uczenia się. Mówi o tym w swoich wykładach prof. Marek Kaczmarzyk z Uniwersytetu Śląskiego.

Dlatego nauczyciele powinni dążyć wszelkimi sposobami, żeby uczniowie w szkole mieli poczucie bezpieczeństwa. To warunek efektywnej nauki. Błąd popełniany jest często już na samym początku roku szkolnego, gdy nauczyciel przedstawia przedmiotowy system oceniania (PSO). W ten sposób uwaga uczniów od samego początku kierowana jest na klasówki, testy, oceny, egzaminy, a nie na to, co jest prawdziwym celem edukacji, czyli na rozwój i poznawanie świata. A przecież prawo nie wymaga od nauczycieli tworzenia przedmiotowych systemów oceniania. Ten powinien być opracowany na poziomie szkoły i opisany w statucie. Zaczynanie roku szkolnego od ocen i sprawdzianów Celestyn Freinet nazwał stawianiem wozu przed koniem. Jeszcze gorsze jest ciągłe straszenie egzaminami.

Rok szkolny warto zacząć od tworzenia dobrych relacji, bo to one są fundamentem efektywnej nauki. Warto też mówić o tym, co uczniowie poznają, co ciekawego będą robić, do czego przyda im się to, czego będą się uczyć. Warto rozmawiać z uczniami o ich planach, zainteresowaniach i fascynacjach, bo dzięki temu nauczyciel wie, jak powiązać to, co znajduje się w podstawie z zainteresowaniami i planami uczniów.

Szkola powinna sprawiać radość, bo rozwój daje radość. Ważne, by satysfakcję ze swoich postępów mogli czerpać wszyscy uczniowie, a nie tylko ci najlepsi. Zdaniem neurobiologów nasz mózg potrafi nagradzać się sam. Gdy się czegoś nauczymy i jesteśmy z siebie zadowoleni, to w naszych mózgach pojawia się dopamina. To wyjaśnia, dlaczego dzieci nie potrzebują stopni. Dużo lepiej pracują, gdy napędza je motywacja wewnętrzna.

Dziś o procesach uczenia się wiemy dużo więcej niż 20 lat temu. Zmiana modelu szkoły zależy od tego, jak tę wiedzę wykorzystamy. A trzeba dodać, że wnioski płynące z badań nad mózgiem potwierdzają to wszystko, o czym mówili reformatorzy edukacji. Niestety, edukacyjny główny nurt konsekwentnie idzie w przeciwnym kierunku.

Żeby szkoła się zmieniła, najpierw my, dorośli, musimy sobie przypomnieć, że jej prawdziwym celem nie jest przygotowanie uczniów do testów, ale tworzenie środowiska, w którym każde dziecko i każdy młody człowiek będzie mógł rozwinąć swój potencjał. Jak długo nastawienie na rozwój przegrywa z nastawieniem na kontrolę i pomiar, tak długo szkoła nie będzie dobrze spełniać swojej roli. Pozytywne jest to, że coraz więcej nauczycieli i dyrektorów rozumie, że jesteśmy w ślepej uliczce. Zmianę warto zacząć od konsekwentnego stosowania prawa oświatowego, a potem musimy pójść dalej. ●